

Domknięcie losu

Czasami księżyc świeci od spodu, reż. Paweł Wolak, Katarzyna Dworak (PIK), Teatr Lubuski im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze



JOANNA OSTROWSKA

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

AA A



Fot. Adas Hanuszkiewicz

Ostatnią część swojego wiejskiego tryptyku *Czasami księżyc świeci od spodu* Katarzyna Dworak i Paweł Wolak zrealizowali ponownie w zielonogórskim Teatrze Lubuskim. Będąc absolutnie zachwycona ich poprzednim spektaklem *Gdy przyjdzie sen. Tragedia miłosa, z góry cieszyłam się na kolejną odsłonę. Może mój zachwyt tamtym przedstawieniem i chęć, by ponownie wejść w tamten klimat, spowodowały, iż ostatnia część tryptyku początkowo mnie rozczarowała – tym, że była tak inna w stylu od jej poprzedniczek. To początkowe rozczarowanie szybko jednak ustąpiło, może już nie zachwytoi, ale uznaniu dla kolejnego*

bardzo porządnie zrobionego przedstawienia.

Pomyślałam, że duet PIK postąpił bardzo mądrze i odważnie, odchodząc w swojej inscenizacji od tego, co wcześniej się sprawdziło i zyskało uznanie. Dramaturdy i reżyserzy zamiast eksplloatować wypracowaną przez siebie formę – zarówno literacką, jak i sceniczną, postanowili zaprezentować coś odmiennego. Choć ta inna forma spektaklu początkowo bardzo przypominała tradycyjny teatr obyczajowy z realizmem psychologicznym tłumaczącym działania postaci, wraz z biegiem akcji została uzupełniona o całkiem inny wymiar, nieobecny we wcześniejszych częściach „opowieści wiejskich” – o humor i komizm. To właśnie one nadały przedstawieniu w pewnym momencie oddechu i głębi; dzięki nim, a nie „realizmowi magicznemu”, jak w poprzednich częściach, opowieść znów stała się czymś więcej niż tylko historią o tym, co wydarzyło się w pewnej wiejskiej rodzinie.

Kiedy wkraczamy na widownię, akcja na scenie już trwa – jacyś ludzie chodzą, słychać stuki, łomoty; lecą iskry. Nie sprawia to wcale wrażenia wiejskiego otoczenia, tylko raczej wprowadza klimat industrialny. Na środku sceny, bliżej proscenium stoi wielka, graniastosłupowa, metalowa klatka, to wewnątrz niej dzieć się będzie większość akcji. Pierwsza scena sprawia wrażenie, jakbyśmy odnaleźli Jaśka (Ernest Nita) tam, gdzie go zostawiliśmy pod koniec *Gdy przyjdzie sen...* – w więzieniu. Podobnie jak w końcowych kwestkach poprzedniej części Jasiek znów dyskutuje z Bogiem. Lecz ta kontynuacja jest tylko pozorna – klatka to nie więzienie, w którym został za nie swoje zbrodnie zamknięty Jasiek, a ten Jasiek (choć grany przez tego samego aktora) to już całkiem inny bohater: nigdy nie miał żony, nikt nie zginął z jego powodu. Ten Jasiek mieszka w jakiejś odległej wsi razem z ojcem, który właśnie kona. Wraz z rozwojem akcji okazuje się, że klatka to dom, ale ten dom to także pewien rodzaj więzienia. Rozmowa z Bogiem tego Jasia też dotyczy czegoś trochę innego: już nie narzeka, że swoimi decyzjami Bóg kolejnemu człowiekowi zmarnował życie, lecz próbuje być bardziej konstruktywny: sugeruje, by Bóg najpierw pozwolił człowiekowi na jakieś próbne życie, a dopiero potem dał mu przeżyć to właściwe, za które zostanie przez Boga rozliczony.

Autorowi scenografii Piotrowi Tetlakowi udało się zbudować przestrzeń bardzo odmienną od tych, w jakich rozgrywała się akcja poprzednich części, a równocześnie w sposób bardzo przekonujący oddając klimat biednej, starej chalupy. Ta metalowa konstrukcja jest surowa i prosta, a do jej sufitu przyczepiono stare, poobtłukiwane emaliowane miski i garnki. Wewnątrz niej stoi tylko łóżko, stół, taboret, wiadro. Nie są to tylko niezbędne rekwizyty, wydają się rzeczywiście jedynym wyposażeniem tego męskiego domu, który jest zaniedbany i mało przyjazny, przez swoje siatkowe ściany niedający także poczucia bezpieczeństwa. Kiedy Jasiek chce się z niego wyrwać, wychodzi na górną platformę, jest wtedy jakby zawieszony między ziemią, od której ucieka, a niebem, gdzie jest jedyny ten, któremu Jasiek może powierzać swoje myśli. Większość akcji jednak dzieje się tam, we wnętrzu klatki. Na moment przestanie być ona domem, a stanie się sklepem w drugiej, bardziej komicznej części przedstawienia.

Początek jest natomiast bardzo realistyczno-obyczajowy: w swoich monologach Jasiek rozprawia się z relacją z ojcem, który sam siebie i swoją rodzinę izolował od wsi. Potem pojawia się jeszcze spór braterski i typowy wiejski konflikt o ojcowiznę. Jasiek wszystkie dzwawstwa ojca składa na karb tego, co przeżył on jako dziecko na Wołyniu. Słyszymy więc historię okrucieństw, jakie spotkały ojca i jego rodziców ze strony Ukraińców, ale także historię obojętności i wrogości polskich krewnych, do których uciekli spod rzezi.

W tej części przedstawienia wszystko rozwija się jak w typowym społeczno-obyczajowym przedstawieniu. Jasiek relacjonuje trochę nam, trochę Bogu, swoje życie. Wiemy, że został sam z ojcem, matka zmarła. Potem pojawia się brat – Paweł (Lech Mackiewicz), który po wielu latach wraca do domu na wieść o umieraniu ojca. Paweł uciekł od rodziny, od tamtej pory przysyłał tylko kartki z życzeniami, bez adresu zwrotnego. Teraz przywozi żonę (Tatiana Kołodziejka) i nastoletniego syna (James Malcolm). Historia toczy się w łatwy do przewidzenia sposób: Jasiek wyrzuca bratu, że uciekł i zostawił go samego z ojcem, Paweł broni się, że chciał wrócić po brata, ale ciągle coś mu przeszkadzało. Kiedy ojciec umiera, dochodzi to tego jeszcze spór o spadek. Bożena, żona Pawła, uważa że bracia powinni się wszystkim podzielić, Jasiek natomiast jest przekonany, że wszystko należy się jemu, skoro brat wyrzekł się swojego tutejszego życia. Ta część jest porządnym, rzetelnie zagranym spektaklem, bez zaskoczeń, fajerwerków, ale i bez żadnych potknięć. Akcja toczy się głównie dzięki dialogom, jest dość statyczna. To głównie opowieści o przeszłości: o uczuciach i wydarzeniach, wygrywane niemal wyłącznie w słowach oraz długich pauzach, które mają sugerować niemożliwość zakomunikowania wszystkiego, co by się chciało, i jakąś niewypowiadalną głębię, którą lepiej omijać. W tej części jedyną sceną, która raczej z powodów pozateatralnych wywoływała wesołość, była rozmowa Jasia z księdzem (Jerzy Kaczmarowski), który odmawiał pochówku ojca, ale odpowiednie zadośćuczynienie w banknotach zlagodziło jego stanowisko.

Coś się jednak zmienia i przełamuje w scenach, jakie następują po scenie pogrzebu. Po pierwsze wraca znany z wcześniejszych części tryptyku sposób prowadzenia narracji, w którym postaci zaczynają opowiadać o sobie jakby w trzeciej osobie – relacjonują własne doświadczenia i przeżycia. Tak dzieje się w scenie z Basią (Anna Haba), która opowiada Bożenie o dziewczynie Jasia, bardzo długo zatajając, że chodzi o nią samą. Poza tym śmierć ojca to dla Jaśka wyzwolenie – teraz może wreszcie zacząć układać sobie życie. Najzabawniejszą, a zarazem bardzo ludzką jest scena, w której Jasiek prosi Boga, by dał mu znać, z którą dziewczyną powinien się związać: czy na jakieś dziesięć lat z wystrzałową Olą (Joanna Koc), czy też na całe życie z wpatrzoną w niego, ale za to przeciętną Basią, którą już zdążył skompromitować we wsi (swoją drogą jakiej odpowiedzi spodziewał się od chrześcijańskiego Boga?).

Jasiek ustawia tak całą sytuację, by siła wyższa potwierdziła jego własne chętki – wybierze Basię, jeśli Bóg włączy czajnik elektryczny, jeśli nie – będzie się starał o Olę. Sam nie wierzy, że to może się stać, więc jest prawie pewny, że to tę drugą Bóg-czajnik rekomenduje. Ponieważ czajnik się nie włącza, Jasiek rusza w konkury. Ta rozmowa z Bogiem o kobietach i kolejne dotyczące „zalatów” są przez Nitę rozegrane subtelnie komediowo. Nie ma w nim już nic ze zgorzkniałego filozofa wadzącego się z Bogiem, jest napalony szczeniak, do którego nie dociera, że nie ma już szans u żadnej z dwóch kobiet. Twórcy idą jednak o krok dalej – w scenie ze sklepową – matką Oli – wchodzą w klimaty wręcz farsowe. Sklepowa bezustannie drepcze ze skrzynkami i w zasadzie ma tylko jedno do powiedzenia – wygania swoją, mówiąc językiem młodych, bardzo „wylaszczoną” córkę do domu, a Jasiek gania za nią wewnątrz klatki jak uwięziony zwierzak. Sprawa się jednak komplikuje, kiedy Paweł zauważa, że Jasiek ma popsuły czajnik, bo się sam włączył. I Jasiek wraca do sklepu starać się tym razem o Basię. To rozpięcie nastrojów od ponurej obyczajowości i okrutnego dramatu po niemal farsę sprawia, że spektakl nabiera wielowymiarowości, pokazując, że ludzkie życie jest bardziej zróżnicowane i nie sposób oddać go czy też patrzeć na nie, korzystając z tylko jednego rodzaju teatru.

Przedstawienie nie ma może już tej siły, jaką miało *Gdy przyjdzie sen...*, ale ogląda się je bardzo dobrze. Niewątpliwymi udział mają w tym aktorzy na czele z rewelacyjnym Nitą, który spaja całe przedstawienie. Z łatwością przechodzi od jednego sposobu gry do drugiego i jest w każdym z nich bardzo przekonujący. Swoją wszechstronność aktor pokazał już w wielu spektaklach na zielonogórskiej scenie, ale *Czasami księżyc...* zdecydowanie jest jego popisem. Bardzo dobrze partneruje mu Lech Mackiewicz, choć on jakby na przekór w scenach o odmiennym klimacie jest taki sam – zrównoważony, powstrzymujący emocje, opanowany. Scena obiadu pokazuje jednak, że ten spokój jest w przypadku Pawła czymś sobie narzuconym i byle przeszkoda może go zmienacka zburzyć.

Cały dramat postaci ze spektaklu wydaje się zbudowany na traumie rzezi wołyńskiej. Drastyczne fragmenty historii rodziny, jakie przedstawia nam Jasiek, pochodzą z zeszytu, który znalazł w pokoju ojca. Jest przekonany, że to świadectwo z pierwszej ręki. Ale, jak mówi poeta, *things are never quite the way they seem*. Okazuje się, że narracja, na której zamierzał zbudować swoją przyszłość Jasiek i która była dla niego wyjaśnieniem tego, co kształtowało życie jego rodziny, to młodzieńcze dzieło Pawła, który spisując to, jak wydawało mu się, że mogło wyglądać życie w czasie wojny, próbował się zbliżyć do ojca. Ojciec skwitował jednak historię stworzoną przez syna słowami: „Gówno wiesz, co stało się impulsem dla Pawła do opuszczenia na lata rodzinnej wsi”. A jak było naprawdę? Tego ani Paweł, ani Jasiek, ani my widzowie nigdy się nie dowiemy. Ten kolejny zwrot akcji w spektaklu odmienił całą jego wymowę: oto znów złośliwy Bóg zatriumfował, bo rozliczać będzie Jaśka z życia, które tamten budował na fałszywych przekonaniach. I tak oto Jasiek ponownie przegrywa, a liczby może wyłącznie na zmilowanie na tamtym świecie. Na tym wszystko rozegrał nie tak jak trzeba.

Szkoda mi, że przyszła pora pożegnać się ze światem stworzonym przez duet PIK. Mimo iż każdy ze spektakli był odmienny i treściowo, i estetycznie, i inscenizacyjnie, razem zbudowały fascynującą i przejmującą opowieść o nieuniknionym tragizmie ludzkiego losu, który tylko czasem bywa okraszony odrobiną gorzkiej komedii.

5-10-2016

GALERIA ZDJĘĆ

CZASAMI KSIĘŻYC ŚWIECI OD SPODU, REŻ. PAWEŁ WOLAK, KATARZYNA DWORAK (PIK), LUBUSKI TEATR IM. L. KRUCZKOWSKIEGO W ZIELONEJ GÓRZE



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr: Lubuski im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze

Czasami księżyc świeci od spodu

scenariusz, reżyseria i ruch sceniczny: Paweł Wolak, Katarzyna Dworak (PIK)

scenografia: Piotr Tetlak

kostiumy: Katarzyna Tomczyk

muzyka: Jacek Halas

wykonanie muzyki na żywo: Artur Krawczyk „Gaja”

obsada: Ernest Nita, Lech Mackiewicz, Tatiana Kołodziejka, James Malcolm, Anna Haba, Joanna Koc, Elżbieta Donimirska, Jerzy Kaczmarowski, Alicja Stasiewicz, Aleksander Stasiewicz, Wojciech Romańczuk, Radosław Walenda

premiera: 2.09.2016

TAGI: [Paweł Wolak](#), [Katarzyna Dworak](#), [Zielona Góra](#), [Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego](#),

[Udostępnij](#)

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę:



KOMENTARZE (0)